

Zlecenie

Na spotkanie specjalnie się nie stroiłem, wydawało mi się, że moje ubranie robocze, chociaż nie za bardzo nadawało się do wyższych sfer, będzie idealne na tę rozmowę. Spodnie z delikatnej jeleniej skóry, które opinały uda, ale jednocześnie nie ograniczały ruchów, nieprzemakalny płaszcz trzy czwarte ze skóry bawolej z dzwonołymi rękawami, rozszerzającymi się w okolicy przedramion. Zazwyczaj na każdym nadgarstku noszę futerał z nożami do rzucania. Dziś ich jednak nie wziąłem, odłożyłem również bandolet z resztą stalowego arsenału. Sztylet przy pasie i jeden nóż zostawiłem, żeby spotęgować wrażenie ostrego faceta z pustą głową. Ostrogi z butów jeździeckich zdjąłem, gdy tylko przyjechałem do Fenidong. Ich brzęk działał mi na nerwy, a ponadto zdradzał każdy ruch. Na pierwszy rzut oka moje ubranie było mocno znoszone, można by nawet prawie powiedzieć, że obdarte. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zmieniać zawartość szafy, ale zanim zdążyłem nową część ubrań przerobić na swoją modłę – przysposobić do uzbrojenia, za każdym razem upływało mnóstwo czasu. Jedynie koszulę kupiłem nową, w niej zazwyczaj żadnych ważnych rzeczy nie chowałem.

Zanim wszedłem do luksusowej siedziby firmy „Masner i spółka”, porządnie ją obejrzałem. Był to czteropiętrowy dom w prostym stylu, typowym dla miejskich państw Ligi Handlowej. Bez zbytecznych ozdób, ale solidny i wystarczająco reprezentatywny. Został zbudowany z dokładnie przylegających, błyszczących granitowych bloków, cienkie szpary wypełniała dekoracyjna, ciemnoczerwona zaprawa murarska. Wielkie okna na pierwszych dwóch piętrach były zakratowane, przy odrobinie szczęścia dałoby się wyskoczyć z trzeciego albo, bardziej ryzykując, z czwartego przeskoczyć na drzewo i po nim zejść na dół. Najbliższy budynek stał w odległości zaledwie dziesięciu metrów i doświadczony człowiek z pomocą liny ze złodziejską kotwicą potrafiłby łatwo przedostać się na jego dach. Nie miałem żadnego powodu do podobnej ostrożności, ale kiedy tacy niby to przyzwoici handlowcy chcą wynająć człowieka takiego jak ja, dobrze być przezornym.

Zapukałem do drzwi. Po oczekiwaniu, które dokładnie odpowiadało randze domu, powitał mnie odźwierny w eleganckim czarnym uniformie ze srebrnymi ozdobami. Nawet najmniejszym mrugnięciem oka nie okazał zniechęcenia moim wyglądem i bez zbędnej zwłoki zaprowadził do salonu na trzecim piętrze. Masner i całe zgromadzenie już czekali.

– Pan Koniasz – zapowiedział mnie odźwierny.

Drzwi były wysokie i przeszedłem pod nimi bez skłaniania głowy. Ściany salonu, wyłożone zabejcowanym na jasno jesionowym drewnem, powiększały optycznie pomieszczenie, oprócz wielkiego stołu na środku, kilku stolików konferencyjnych i wielu krzesel, nie było tu żadnych innych mebli. Ogromne okna sięgające od podłogi aż do sufitu przepuszczały nawet w pochmurne dni wystarczającą ilość światła, lampy więc były zgaszone. Salon wyglądał na idealne miejsce do długich rozmów i dobijania targów. Neutralne, skromne i godne zaufania otoczenie. Oprócz Masnera było tutaj jeszcze trzech innych mężczyzn: mały grubas z nieproporcjonalnie wypukłym brzuchem, w czarnej, satynowej kamizelce z masywnym złotym łańcuchem; ascetycznie wyglądający łysol oraz elegancik, siwawy facecik ubrany według najnowszej mody w jedwabną koszulę z pofałdowanymi rękawami. Odpowiednio umięśniony kark opinała wspaniale nakrochmalona biała krawatka, ostatnie wrażenie kobiecości rozproszyły mocne uda w ciasnych, ciemnych spodniach. Być może to członek miejscowej śmietanki i elegancik, ale prawdopodobnie potrafił trzymać się również w siodle i z bronią w ręce. U handlowców to nie jest normalne. Grubas i łysol zmierzli mnie wzrokiem bez jakiegokolwiek wyrazu, elegancik wyglądał przez chwilę na zdziwionego, ale potem jakby mu trochę ulżyło.

– Pan Koniasz – przedstawił mnie Masner raz jeszcze i po kolei wskazywał na swoich towarzyszy:

– Pan Guiny – bankier, pan Hatovu – armator, jego ekscelencja pan Valer – fenidoński gubernator.

Jeśli to była prawda, znalazłem się w doborowym towarzystwie. Guiny był właścicielem największego banku w mieście i kontrolował handel zbożem w połowie państw Ligi, do Hatovu należała jedna z największych handlowych flotylli. Valer był, co prawda, jedynie wybieranym urzędnikiem, ale stała za nim biurokracja całego Fenidong, według prawa dowodził gwardiom miejskim, a do tego wszystkiego był jeszcze bardzo bogatym człowiekiem. Przynajmniej o ile

słyszałem.

– Panowie, usiądźmy do stołu i zacznijmy rozmowy – zachęcił nas Masner.

Sam usiadł i rozłożył przed sobą dużą i szczegółową mapę. Na pierwszy rzut oka było widać, że na swoim terenie nie jest żadną płotką, raczej ostrym zapaśnikiem na ringu.

Chyba trzy godziny trwało, zanim mi wytłumaczyli, o co właściwie chodzi. Czasem miałem wrażenie, że sami między sobą ustalają stanowiska i wracają do dawno rozwiązanych sporów. Interesujące było obserwowanie, jak jeden drugiego ostrożnie ocenia. Najbardziej rozeznany wydawał się Valer. Nie wtrącałem się za bardzo do debaty i robiłem minę, jakby połowa spraw mi umykała. Doszedłem do wniosku, że wcale nie zaszkodzi, jeśli będą uważali mnie za niewykształconego i tępego żołdaka. Z długiej dyskusji zrozumiałem, że do tej pory w całym przedsięwzięciu utopili co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Zaparło mi dech. Sam jestem zadziwiająco bogatym człowiekiem. Wiele nie potrzebuję, a o ile dam się wynająć, za swój czas wymagam odpowiedniej zapłaty. Nawet jeśli ktoś polemizowałby ze słówkiem „odpowiedniej”. W bankach, w udziałach handlowych, nieruchomościach na całym kontynencie mam ulokowanych w przybliżeniu pięćdziesiąt tysięcy złotych. Mniej więcej taką cenę ma wielkie szlacheckie lenno. Sto pięćdziesiąt tysięcy było nierealną kwotą. W życiu nie słyszałem o tak gigantycznej transakcji handlowej, chyba tylko crambijski cesarz może operować jeszcze większą ilością pieniędzy.

– Panowie, dobrze to rozumiem? – przerwałem ich dyskusję. – Chcecie ode mnie, żebym zorganizował karawanę tysiąca ludzi, przeprowadził ich przez terytorium państw Ligi, dalej przez Księstwo Marmockie, Dabavię, Hrabstwo Ryżskie i Voveńskie Wolne Włości. Potem mam z nimi obejść Morze Keżskie i Keżskie Stepy i pomóc im osiedlić się tutaj?

Wbiłem palec w miejsce na mapie, gdzie drobnym maczkiem było napisane: Hic sun leones.

Terytorium, o które chodziło, nie było tak zupełnie nieznanne. Napis oznaczał, że oficjalnie na razie nikt nie rości sobie praw do ziemi. Oczywiście oprócz tamtejszych mieszkańców, dzikich koczowników, których nikt jednak o nic nie pytał.

– I za to mi zapłacicie dziesięć tysięcy złotych, dziesięć za każdego człowieka?

Armator Hatovu popatrzył na mnie z niesmakiem.

– I takiemu człowiekowi mamy powierzyć dokończenie całego przedsięwzięcia? Przecież on nawet nie potrafi zapamiętać paru rzeczy!

Zanim zdążyłem włożyć maskę urażenia i groźby, zareagował Valer:

– Proszę nie zapominać o jego rekomendacjach. Ocalił Dautberga w chwili, kiedy wszyscy już go spisywali na straty. Być może nie zna się na rozmowach handlowych, ale bez wątpienia jest mistrzem akcji i taktyki, prawda, panie Koniasz? – Popatrzył na mnie taksującym wzrokiem.

...i strategii, do tego na trucicielstwie znam się nieźle a na przyrodoznawstwie ogólnie, dodałem w duchu, ale głośno wymamrotałem jedynie potakujące „huhuh”.

– Czy mogą panowie powtórzyć nasze ustalenia? – zwróciłem się do Valera i Masnera.

Hatovu wciąż mnie obserwował z powątpiewaniem.

– Rzeczywiście dostanie pan dziesięć złotych za głowę – zaczął Masner – jednak tylko jeśli zostaną spełnione następujące warunki. Po pierwsze, osadników musi być minimalnie tysiąc. Jeśli będzie ich tylko dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu, nie zapłacimy nawet miedziaka. Po drugie, wynagrodzenie otrzyma pan dopiero wtedy, gdy będą obsiane pola o wymiarach co najmniej dwustu hektarów, a na miejscu narodzi się co najmniej dwadzieścioro dzieci. Czy to jasne?

Przytaknąłem.

– A co, jeśli osadników będzie pięć tysięcy? Dostanę pięćdziesiąt tysięcy?

Mężczyźni popatrzyli się na siebie ze zdumieniem. Niewątpliwie zdziwiłem ich swoją doskonałą znajomością tabliczki mnożenia.

– Nie – powiedział Masner. – Dla nas jest ważne, żeby ich tam było tysiąc i więcej.

– Dobrze – zgodziłem się. – W takim wypadku chcę dwanaście złotych za głowę.

– Czy uświadamia pan sobie w ogóle, o jaką kwotę chodzi? – wybuchnął znowu Hatovu.

Uświadamiałem to sobie aż za dobrze. Są miejsca, gdzie was zabiją za pięć srebrnych, za siedem skatują, a za dziesięć będzie to trwać cały dzień. Zabójstwo najdroższe jest w Juvinallu, a to tylko dlatego, że zabójca musi po pracy szybko uciec z zasięgu tamtejszej jurysdykcji wykonawczej. Za

dwanaście tysięcy da się zorganizować zagładę całego narodu. Odwróciłem się w stronę okna, a potem armatora. Po południu zaczęło padać, w saloniku się ściemniło i najjaśniejszą rzeczą w okolicy była jego świecąca łysina.

– To pierwszy raz, kiedy ktoś mi płaci podług ilości żywych, z reguły bywa odwrotnie. Ale dla waszej informacji: martwi są drożsi niż żywi. Kiedyś mi zaoferowali pięć tysięcy. Za jednego człowieka.

Mężczyźni popatrzyli na siebie wzajemnie. Najpewniej na chwilę zapomnieli, że nie jestem kupcem, lecz kimś zupełnie innym. Nie kłamałem. Nie zarobiłem jednak tych pieniędzy, ponieważ moim celem był profesjonalista z branży i prawie mnie zabił. Później już nigdy takiego zlecenia nie przyjąłem.

– Jestem tu dlatego, żebyśmy zadowolili pana Koniasza. Powiedziałbym, że jest dla nas właściwym człowiekiem i z pewnością zasłuży na swoje wynagrodzenie – powiedział w ciszy bankier Guiny i po raz pierwszy bezpośrednio na mnie popatrzył.

Gdyby nie przenikliwe oczy, wyglądałby jak tłuściutkie dobrotliwe prosiątko.

– Panowie, proszę się wypowiedzieć – zachęcił pozostałych Masner.

Nawet się za bardzo nie ociągali i wyrazili zgodę. Dautberg musiał o mnie rzeczywiście naopowiadać mnóstwo wspaniałych rzeczy.

– Tym samym uważałbym to spotkanie za zakończone. Ja jeden zostanę z panem Koniaszem w kontakcie, a was będę o stanie rzeczy regularnie informował, dokładnie według naszych ustaleń – powiedział Masner.

Ewidentnie występował jako pośrednik.

– Jeszcze nie skończyliśmy – odparłem.

– Ech?

W oczach wszystkich odbijał się wielki znak zapytania, tylko Guiny wyglądał, jakby mnie rozumiał.

– Chcę zaliczkę. Przy każdej transakcji, którą zawieram, dostaję zaliczkę.

Guiny się roześmiał. Oczekiwał takiej reakcji, a ja nie chciałem wpaść z roli, w jakiej mnie widział.

– Oczywiście. Ile by sobie pan zażyczył?

– Sto złotych. Mam w zwyczaju porządnie uczcić każdą dobrą transakcję.

– Wystawię panu czek, a pan mi podpisze weksel. Czek zrealizują w którymkolwiek miejscowym banku.

– To będzie jego najłatwiej zarobiona stówka – wymamrotał półgłosem Hatovu. – Weźmie nogi za pas.

Guiny pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby pan Koniasz z powodu mizernej stówki zrezygnował z nadziei na dwanaście tysięcy. A poza tym, państwa Ligi są najprzyjemniejszym miejscem do trwonienia pieniędzy, prawda. Jeśli by moją stówę sprzeniewierzył – na to słowo Guiny z rozbawieniem się skrzywił – już nigdy nie mógłby się tutaj czuć tak komfortowo jak dotąd.

Miał rację, ale jednocześnie przekonywał siebie, ponieważ sto złotych nie jest aż tak małą sumą pieniędzy. Drobny rzemieślnik zarabia dwa złociszę tygodniowo. Jeśli jest rzeczywiście dobry.

– Wieczorem „U Pelikana” – syknąłem Masnerowi do ucha, kiedy wychodziłem.